ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Sierpnia 1895. Nr. 16.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Arcyksiążę Maksymilian czekając aż zdrada w Krakowie dojżeje i posiłki z Niemiec przyjdą, rozłożył się z główną siłą w Mogile, wysełając często gęsto liczne oddziały w okolicę po żywność dla ludzi i koni. Oddziały te dostarczały zawsze nie tylko żywności, ale jeszcze przywoziły łup obfity, dopuszczając się rabunków i nadużyć niesłychanych. Lecz naraz zmieniła się postać rzeczy.

Pewnego dnia wyszły dwa oddziały z obozu po żywność i nie wróciły więcej. Czekano dzień jeden, drugi i trzeci, a gdy zawsze napróżno, rozkazał arcyksiążę wyprawić dwa silne podjazdy z surowem upomnieniem, aby zabrawszy żywność i owe dwa pierwsze oddziały, wracały czemprędzej do obozu. Lecz i teraz wysłańcy bawili jakoś długo; gniew począł chwytać arcyksięcia, poprzysiągł sobie przykładnie ukarać nieposłusznych żołnierzy, gdy wtem dano znać, że podjazd wrócił. Maksymilian sam wyszedł na majdan obozowy, aby się czemprędzej dowiedzieć o przyczynie zwłoki i swoją przysięgę wykonać, ale aż się za głowę uchwycił, gdy mu powiedziano, że z jednego podjazdu wróciło trzech ludzi, a z drugiego jedyny jeden. Wszyscy zaś byli obdarci, głodni, przerażeni i niestworzone opowiadali rzeczy. Oto prawili, że gdy się oddalili spory kawał od obozu i zapuścili się w lasy, przez które im droga do wsi wypadała, ni ztąd, ni zowąd zahuczała ziemia, wrzaski napełniły ciche głębie leśne, jacyś zbrojni ludzie wyrośli, jakby z pod ziemi i nuż bić, siec, rąbać z taką zajadłością, że nim się nieszczęśliwi opamiętali, byli otoczeni, zmieceni, wybici; ledwo ich czterech z duszą uszło. Niedobitek z drugiego podjazdu opowiadał mniejwięcej tak samo; to tylko jeszcze dodał, że zmykając najdzikszemi częściami lasu, znalazł w krzakach ciężko rannego żołnierza, który na jego ręku skonał. Był to żołnierz z owego pierwszego oddziału wysłanego po żywność, a przed śmiercią powiedział,

że gdy w pewnej wiosce nie chciano im dostarczyć tyle żywności, ile żądali, zaczęli ludzi siec, a domostwa palić. Wtedy zjawił się nagle zastęp zbrojnych ludzi i cały oddział wyciął do nogi; on tylko sam ciężko ranny utaił się w jakimś kącie, a następnie z nastaniem nocy, zaczołgał się w zarośla, gdzie z głodu i pragnienia zginął.

Arcyksiążę nie chciał własnym uszom wierzyć: chwycił się obydwoma rękoma za głowę i wytrzeszczonemi oczyma wodził po panach polskich, obecnych temu opowiadaniu; chciał mówić, ale nie mógł, bo straszny gniew zasznurował mu gardło. Nareszcie przecie ryknął chrapliwym głosem, ściskając pięści:

— Kto to mógł być... Kto to mógł uczynić!...

A gdy mu nikt nie odpowiedział, krzyczał dalej z wściekłością:

— O djabelski kraj taki! To mnie królem obrali, przez posły zaprosili, a teraz wojsko mi rżną jak barany, a mnie chcą zagłodzić!... O niewdzięcznicy!... Ale nauczę ja was... pokażę, co to jest sprzeciwiać mi się... podnieść rękę na majestat!...

W złości człowiek wiele zapomina, więc i arcyksiążę zapomniał znać, że to tylko garstka warchołów na tron go zaprosiła, a poważniejsza i większa część narodu wysłała posły do niego, z prośbą, aby się do Polski nie fatygował, bo mają innego króla. Ale w strasznym gniewie pewnie o tem zapomniał, bo groźny wzrok utkwił w pana Krzysztofa Zborowskiego, lecz ten nie bardzo się stropił, ale rzekł pospiesznie:

— Słuszny gniew Waszej Królewskiej Mości! Ale czy też to aby nie wojsko Zamojskiego? Bo któż to inny mógłby być?

— Jeżeli to Zamojski, to musiał wyjść z Krakowa. Tedy dobra nasza, mości panowie! — zakrzyknął pan Andrzej. — Już nam się ten wąż nie wymknie i drugi raz Krakowa nie zajmie!

— Tak, to będzie Zamojski, bo któżby inny? — dodał pan Krzysztof.

— Może to być! może to być! Trzeba się natychmiast przekonać — zakrzyknęło kilka głosów, a twarz Maksymiliana się rozpogodziła.

Wysłano tedy znaczną część wojska w pogoń za owymi nieznanymi rycerzami, którzy najeźdzcom takiego zadali pieprzu. Ale chorągwie austryackie szły i szły wśród ciszy leśnej, nie znajdując nigdzie żywego ducha. Dopiero, gdy z powrotem główna siła udała się do obozu, a mały oddział wszedł do pewnej wsi po żywność, i zaczął rabować, ukazali się ci, których napróżno dotąd szukano, inpetem uderzyli, że żołnierze austryaccy, porzuciwszy żywność uciekali co tchu ku głównej sile; wpadli jak wściekli na własne szeregi, zmięszali je, rozbili, roznieśli popłoch nieopisany i wszyscy razem co sił zmykali do obozu, choć ich nikt nie gonił. Gdy arcyksiążę ujrzał swoje chorągwie idące w skok, był pewien, że wielki hetman na karkach im jedzie. Ale jakież było jego zdziwienie i wściekłość, gdy się dowiedział, co się stało; otaczający Maksymiliana panowie i wojskowi myśleli, iż go paraliż na miejscu trząśnie.

I odtąd zaczęły się smutne dni dla tego króla polskiego. Ani jeden podjazd nie wrócił tak jak wyszedł w całości, żaden posłaniec nie doszedł do celu, żywności nigdy nie było dosyć; w obozie zapanowało przerażenie, głód i strach. Jakieś siły tajemnicze otoczyły obóz i odcięły go od reszty świata. Na nic było ruszyć choćby z wszystkiemi chorągwiami w pogoń, bo nie było wtedy kogo gonić; ale za to każdy podjazd był zbity, zdziesiątkowany. Zresztą Maksymilian nie mógł się oddalić zupełnie od Krakowa, aby ścigać nie wiedzieć kogo, bo tymczasem mógłby był Zygmunt spokojnie wejść do stolicy i zostać ukoronowanym. Większym siłom arcyksięcia, opuszczającym obóz, ukazywali się jacyś nieznani rycerze zdaleka, nie przyjmując najczęściej bitwy, szarpiąc jeno ze wszystkich stron; ale kiedy przyszło do walki, bili się jak lwy, najdzielniejszych austryackich żołnierzy przewyższając furyą i wściekłością. Jeżeli się zaś udało Austryakom schwycić żywcem którego, co się nader rzadko zda-

rzało, bo walczyli do ostatniego tchu, nie poddając się, tedy wołał taki nieszczęśliwy skonać na torturach, wśród mąk straszliwych, a swoich nie zdradzić, nie powiedział zkąd są, gdzie się chronią, jak się zowią.

Maksymilian wściekał się ze złości i strachu, bo sam nie wiedział, co począć, jak się bronić. Sądził, że to niesforne, a mściwe chłopstwo tak zaciekle dojeżdża wojska jego królewskiej mości, zgrzytał więc zębami, przyobiecał straszliwą zemstę, ale tymczasem siedział cicho, bo się bał ruszyć i nie mógł inaczej. Wojsko mu w oczach topniało, głód kiszki skręcał na struny, a rady nie było nijakiej. Dostało się wtedy i polskim panom niemało wymówek i przycinków, że miłościwego swego pana w takie bagno wprowadzili, lecz i to nic nie pomogło, gdyż sławni wichrzyciele nie mieli innej rady, jak czekać na posiłki, a tymczasem opędzać się wedle możności nieznanym napastnikom.

Aż nagle imię Gabryela Hołubka zabrzmiało po okolicy. Jego to zastępy tak dzielnie gromiły arcyksiążęce szyki, on to tak umiał się uwijać około wojsk austryackich, jak wilk około stada owiec, ten to prosty, młody górnik okazał się tak znakomitym wodzem, nieustraszonym rycerzem. Wszystkie usta powtarzały imię dzielnego wojownika, prosty lud i drobna szlachta wznosili ręce do nieba, dziękując Bogu za tego niespodziewanego obrońcę i mściciela; matki opowiadały o nim dzieciom swoim, stawiając go za wzór cnoty, dziewice śpiewały pieśni o mężnym rycerzu, który z miłości dla Ojczyzny, z litości nad krzywdzonym ludem zamienił oskard na szablę, z górnika stał się żołnierzem i radość rozniósł po kraju, a strach rzucił na najezdnika. Wszystka zaś młodzież z okolicy sypała się pod jego chorągwie, które rosły jak powódź, toczyły się jak spienione fale, oblewając nieprzebrodzonemi wodami obóz arcyksięcia.

Sława Gabryela najgłośniej brzmiała w jego rodzinnym Olkuszu; Ludmiła żyła jakby w upojeniu, jak w gorączce; śmiała się i płakała bezustanku, a często ręce wyciągając do góry wołała:

— Boże! Boże! Czemuż się ja mężem nie urodziłam? Czemuż muszę tu siedzieć, kiedy on się tam bije? Czemuż i ja nie mogę lecieć na wroga?

I oczy jej rzucały błyskawice, głowa płonęła, a krew gorąca wrzała w żyłach. Czasami znowu ogarniała ją nieprzemożona tęsknota za bratem i mężem, niepokój o te dwie kochane istoty szarpał jej sercem, tem więcej, iż o Adamie nie miała od dawna żadnej wiadomości, gdyż panna Wisłocka mimo obietnicy, nie przybywała do Olkusza.

Aż przecie pewnego poranku, wpadła zdyszana Maryśka do komnaty, wołając, że jakaś śliczna pani przybyła. Ludmiła poskoczyła ku drzwiom i w jednej chwili znalazła się w objęciach Bożeny.

— Prosto do ciebie spieszę — mówiła panna Wisłocka, gdy weszła do pokoju, — aby ci wieść o Adamie przynieść. Mam tu list od niego dla ciebie; przeczytasz go sobie, gdy pójdę do kościoła, co zaraz uczynię, jeno niech ci pierw powinszuję tej chwały, którą brat twój swoje i twoje imię okrył.

Łzy radości i dumy zabłysły w oczach pani Adamowej, a piękna panna mówiła dalej:

— Jak tylko gruchnęło po okolicy, że jacyś nieznani rycerze gromią wojska arcyksiążęce, tak już wiedziałam, kto im przewodzi. Niechże Bóg wspiera i osłania dzielnego zacnego młodzieńca... co dzień się modlę za niego, jako za Obrońcę Ojczyzny.

— Bóg ci zapłać! Bóg ci zapłać! — powtarzała Ludka, całując Bożenę. — I za twoje serce dla nas wylane i za to, żeś przybyła! Dzień i noc wyglądałam... mniemałam, że już w Lipcu przyjedziesz, jakoś mówiła.

— Nie mogłam. Ojciec wcale na elekcyi nie był, choć nie chory obłożnie, ale ciągle mi słabował; gryzło go smutne położenie kraju i opuszczenie hetmana. Dopiero jak się dowiedział, że ochotnicy zebrali się pod jakimś nieznanym wodzem i dogrzewają Austrya-

kom, zaraz znacznie poweselał i do sił zaczął powracać. A gdy się niedawno wieść rozeszła, że z Maksymilianem już bardzo ciasno, prawie zupełnie wyzdrowiał.

— O niechże chwała będzie Bogu! — zawołała z uniesieniem Ludka — że czcigodny wasz rodzic zdrowy i... że to Gabryel przyczynił się do tego.

Panna Wisłocka uśmiechnęła się słodko i podjęła znowu:

— I ja się z tego cieszę niewymownie... Bardzo mi pilno było do ciebie, ale czekałam na list od Adama, lub jego przybycie, on zaś wcale do domu nie przyjechał, bo mu wojska Zborowskich na drodze leżały. Prosto z Podola przekradł się do Krakowa, gdzie jest przy panu Zamojskim.

— To już nie przybędzie do Wisłocka?

— Niestety nie, niebogo moja! Ale przecie wojna się skończy.... List ci powie więcej odemnie... oto jest; czytajże go sobie, a ja pospieszę do kościoła.

— Wrócisz przecie tutaj jeszcze?

— Owszem; na śniadanie, jeźli pozwolisz i wypocząć trochę.

To powiedziawszy uścisnęła Bożena Ludmiłę i udała się do kościoła, w towarzystwie jednej sługi, starej swojej piastunki, która z nią przyjechała.

Idąc głęboko zamyślona nie spostrzegła, że z pewnego domu wyszło dwóch mężczyzn, wyższych oficerów. Jeden był to przystojny, rycerskiej postawy mąż, ubrany w bogaty wojskowy strój cudzoziemski; drugi zaś widocznie pułkownik nadwornej chorągwi, zdumiewająco pięknej twarzy i wyniosłej postawy, lecz dziwnie był smutny i zadumany; zdawał się patrzeć a nie widzieć, słuchać co towarzysz wesoło mu prawi, a nie słyszeć. Za tymi dwoma oficerami szło w pewnej odległości dwóch prostych żołnierzy.

Oficer cudzoziemiec, kiedy się Bożena około nich przesuwała, spojrzał ciekawie i stanął jak wryty. Po chwili dopiero, gdy jego towarzysz nie uważając tego, uszedł już kilka kroków porwał się z miejsca, dopędził pięknego, zadumanego oficera i szepnął mu do ucha, zatrącając z niemiecka:

— Mości pułkowniku! widziałeś, co to za cudo około nas przeszło?

— Nie, nie widziałem żadnego cuda — odparł smutny młodzieniec obojętnie.

— Tam do djabła! Jeszczem też takiej piękności nie widział... a widziałem przecie ślicznych dam niemało. Chodźmy-no za nią... gdzie to ona tak spieszy?

— E, dałbyś pokój, panie von Lichtenstein! Nie mamy za wiele czasu... dziś jeszczeby trzeba nam wracać do obozu. Ręczę, że się tu napróżno uganiamy!

— Nie napróżno, bo po drodze zrobimy znajomość z tą cudną damą... warta fatygi... mamy czasu cztery dni!... Ale waćpan, panie von Siekierzyński, to jakbyś ócz nie miał!

— Jak będziemy po drodze znajomości z damami robić — odparł z bladem uśmiechem pan Marek, — to nam jeszcze nasze chorągwie, stojące w lesie, Hołubek rozbije, lub wytnie do nogi.

— A nieprawda! My to raczej tego dzikiego rozbójnika schwycimy żywego, czy zmarłego. Na to nas wyszła taka siła; pomyśli ten wisielec dwa razy, niż się na nas rzuci.

— Kto to wie! Podobno niebawem będzie miał ten odważny górnik tyle wojska, co nasz pan najjaśniejszy.

Pan von Lichtenstein nic nie odpowiedział, bo właśnie stanęli przy drzwiach kościoła, do którego Bożena weszła. Po chwili namysłu, cudzoziemski oficer zaczął namawiać pana Marka, aby wszedł z nim do kościoła i zaczekał na wyjście pięknej panienki, lecz ten wymówił mu się i zawrócił do domu, z którego niedawno wyszli, zabierając z sobą jednego z dwóch żołnierzy. Pan Lichtenstein zaś czekał cierpliwie na powrót panny Wisłockiej.

Po dwóch godzinach wyszła ona nareszcie z kościoła i udała się z powrotem do domu Hołubka; oficer podążył za nią. Miasto było jak wymarłe, gdzieniegdzie tylko przesuwał się szybko

samotny przechodzień, gdyż wychodził ten tylko, kto musiał. Dziś właśnie rano rozeszła się wieść, że potężny oddział wojska austryackiego przyciągnął znowu do Olkusza, a przednia jego straż już jest w mieście; gdyż Maksymilian otrzymał posiłki.

W pustej ulicy zbliżył się von Lichtenstein nagle do Bożeny i kłaniając się grzecznie, najuprzejmiejszym głosem przemówił:

— Przebacz o piękna damo! Ale nic nie mówiąc spojrzała na natręta wyniośle, odwróciła się i poszła dalej.

Lecz von Lichtenstein nie dał za wygraną, był to bowiem rycerz wytrwały; więc pogonił za uchodzącą i zrównawszy się z nią, zawołał:

— O równie okrutna jak piękna! Czemu się tak dumnie odwracasz od twego pokornego sługi? Jaż ci chcę ofiarować...

— Idź, wasan, precz natychmiast! — zawołała Bożena, tłumiąc gniew, który



Podkuwanie wołów w Styryi. (Obacz obj. rycin na str. 256).

potęga nad wszystkie siły mocniejsza zmusza mię do odezwania się do Ciebie!

Bożena zdziwiona tą przemową, odwróciła się widząc cudzoziemskiego oficera, zgiętego na pół przed sobą, zapytała spokojnie, lecz zimno:

— Czego waćpan życzysz?

— Dowiedzieć się, czy niebianką, czy też ziemską istotą jesteś, prześliczna! I ofiarować ci najniższe służby moje!

Oczy panienki zamigotały pogardą; zaczął w niej powstawać. — Inaczej wejdę do pierwszego domu i poproszę dla siebie o opiekę, a nauczkę dla wasana, którą tu ci każdy da chętnie.

Ciemny rumieniec pokrył twarz oficera.

— Czy wiesz kogo znieważasz! — wykrzyknął — obyś nie pożałowała swej dumy, pyszna Polko! — zatrzymał się i zamilkł, bo Bożena była już daleko i nie mogła słyszeć pogróżki.

Rozgniewany oficer popatrzał chwilę

za odchodzącą, mruknął coś pod nosem, poczem skinął na żołnierza, idącego za nim i poszeptawszy mu coś do ucha, zawrócił do domu, w którym obaj z panem Siekierzyńskim mieli kwaterę.

Bożena zaś przyszedłszy do bratowej, w żwawej z nią rozmowie, wnet zapomniała o nieprzyjemności jaka ją spotkała na ulicy. Rozmawiając wesoło, zasiadły obie panie do stołu, a niebawem zgrabna Maryśka wniosła śniadanie. Panna Wisłocka patrząc na ładną twarzyczkę i hożą postać dziewczęcia, rzekła do Ludmiły:

— Jakie to miłe stworzeńko! Dawno jest u ciebie?

Pani Adamowa opowiedziała smutną historyę wdowy i jej dzieci.

— I wszyscy są u ciebie! — zawołała Bożena. — Wiesz, wielką sprawiłabyś mi radość, miła siostro, gdybyś tak Maryśce pozwoliła jechać ze mną... Wzięłabym ją do własnych usług. W garderobie wieleby się nauczyła, a później i przyszłość zapewniłabym sierocie.

— Nie miałabym ja nic przeciw temu — odparła Ludka — bo co prawda, nie mam czasu zająć się dziewczęciem... Semena nie ma, muszę myśleć sama o domu. U ciebie zaś, kochana siostro, na dworze skorzystałaby Maryśka więcej, niż w naszym skromnym domu, gdzie nawet niewiele jest o tej porze pracy; a młodemu nie zdrowe próżnowanie, zwłaszcza też tak żywemu, jak ta sierota. Lecz boję się, żeby zaś biedna matka nie myślała, iż chcę się pozbyć jej córki, która, Bóg widzi! jest mi bardzo miła i jeżelibym ci ją dała, tylko dla jej dobra. Nieszczęśliwi i ubodzy są zwykle bardzo drażliwi.... nie godzi się ich ranić.

Ledwo pani Adamowa wyrzekła te słowa, zasłonę odchyliła nieśmiała ręka i wdowa wszedłszy do komnaty, padła Ludce do nóg:

— O, nasza dobrodziejko! Nasze złoto najszczersze! — zawołała ze łzami — ktoby to miał sumienie pomyśleć o tobie, panienko, co złego? Gdzieżbym ja zaś miała się markocić, że chcesz dobra mego dziecka! Toćeśmy oto wczoraj, wej z Maryśką mówiły, że już cię chyba objemy, panienko...

— A dajcie pokój! — przerwała — jeszcześmy dzięki Bogu, głodni spać nie szli... bo Pan Bóg radzi o swojej czeladzi.

— Prawda jest, prawda, żeśmy u ciebie nie głodni, ale bo to my sami na twojej panienko opiece? A matka i siostra tego górnika, co go to Austryaki we wojnie zabili? A wdowa i sieroty tego drugiego, co go też usiekli? A wej żona i dzieciska tych dwóch rannych, co się to tu w mieście z ran liżą? A...

— Dla Boga! Zakończcie przecie tę litanią dobra kobieto — zaśmiała się młoda pani, ale wnet spoważniała dodając: — Nie ma o czem mówić, wierzcie mi! Toć to mój święty obowiązek opiekować się rodzinami tych, którzy przy moim bracie stoją...

— Twoje to serce ze złota, dobra panienko, tak cię popycha i mienie rozdaje. Ale my też nie radzi jeść darmo. Maryśka wczoraj tak sprawiedliwie rzekła do mnie: »Matulu jedyna, mnie tu tak dobrze, jakoby w raju, ale bez roboty się przykrzy i tatuś nieboszczyk mówili«.... Tu się łzami zalała sierota moja biedna na wspomnienie rodzica, ale je wnet otarła i prawiła dalej: »Tatuś zawsze mówili: grzech i sromota jeść darmo. Pan Jezus sam przykazał, żeby ten nie jadł, co nie chce robić. A tu mój Boże! robota jak zabawka... Żebym miała śmiałość, zarazbym naszej panience upadła do nóg, iżby mnie choć na służbę dała... albo co?

— Cóż to za poczciwy i zacny lud! — szepnęła Bożena do siebie, a zwróciwszy się do bratowej, głośno dodała: — Widzisz, kochana Ludko, że Maryśce się przykrzy bez pracy. To też choć ciebie kocha, wiem, że ochoczo pojedzie ze mną. Poznać to zaraz po niej, że jest dziecko wychowane w bojaźni Bożej i ambicyą też ma.... nie smakuje jej chleb niezapracowany.

Święte słowa, jasnej panienki, że chleb najlepszy, gdy w pocie czoła zarobiony.

— Ha! Kiedyć wam tak tęskno za pracą, a co prawda, teraz w zimie przy gospodarstwie ledwo moja czeladź ma robotę, to czyńcie jak wam sumienie każe. Maryśce będzie dobrze i wiele się nauczy we dworze, pod opieką panny Wisłockiej.

— To mi dajcie też jeszcze chłopca — odezwała się teraz Bożena — potrzebny nam do kredensu; czternaście lat ma wszak prawda, wasz najstarszy?

Po małym targu z Ludmiłą zgodzono się nareszcie, że Bożena zabierze dwoje dzieci wdowy ze sobą, i to Maryśkę i Michałka. Oboje bardzo chętnie jechali, bo rzeczywiście nawykli do pracy i poczciwie wychowani nie podobali sobie w próżnowaniu.

Panna Wisłocka zabierała się też spiesznie w drogę, bo pilno jej było do ojca. W godzinę więc później wsiadła z dziećmi do kolasy i pojechała do Wisłocka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JĄKANIE SIĘ.

Dziecko nasze trudno się uczy, — mówią czasem rodzice, — nauczyciel się skarży, że dziecko nic nie umie, a kiedy go się pyta, to dziecko się jąka.

Takie skargi często się słyszy. Czasem jednak skargi i obawy rodziców i nauczycieli są bez podstawy. Dowodem tego jest pewien chłopczyk dziewięcioletni we francuskiej Szwajcaryi. Dziecko jest silnym chłopczykiem, silnie zbudowanym, tylko nieco bladym, co jest skutkiem rozdrażnionych nerwów z powodu choroby. Oczy świecące, czoło otwarte, delikatne ruchy świadczą o tem, że chłopiec jest zdatnym, a pochodzi z rodziców zamożnych. Dziecko zdatne i grzeczne nie może jednak w szkole podołać, ponieważ się jąka tak bardzo, że po każdem słowie następuje jakoby kurcz w ustach. Aby wydobyć słowo, chłopiec zaczyna machać rękami, nogami przebierać. Skacze z jednej nogi na drugą, jak mały niedźwiadek, twarz mu nabrzmiewa i czerwienieje. Oczy występują na wierzch i widać w nich wyraz męczeński. Wtem jakoby wystrzelił z pistoletu wylatuje z ust słowo jakie, potem przez pewien czas dziecko mówi bez przeszkody. Kiedym badał chłopca, opowiadał mi jak mógł, że w szkole umie tyle co inne dzieci, a nawet więcej, dawniej się zgłaszał, że umie, lecz kiedy nauczyciel go wyrwał, to naraz mówić nie mógł. W końcu już wcale się nie zgłaszał, a kiedy go nauczyciel pytał o co, to prawie wcale odpowiedzieć nie mógł, chociaż wszystko wiedział. Dziecko prosiło na wszystko, aby je uleczyć, ponieważ to jest bardzo okropnie, kiedy się mówić nie może.

Mały Francuz został też uleczony przez trzy tygodnie, uleczony na ciele i oswobodzony z cierpienia jakie miał duch z powodu choroby.

Jąkanie się jest chorobą. Kiedy rodzice pytają się lekarza i skarżą się, że dziecko się zająka, to czasem lekarz mówi: to ustanie z czasem; albo: to jest nerwowe, to przejdzie. A jednak i starzy ludzie się jąkają, u których to nie przeszło. Aby poznać gruntownie choroby mowy, do tego potrzeba wiele się uczyć, badać, doświadczać. Ponieważ wielu lekarzy nie zna gruntownych wiadomości w tych sprawach, dla tego zbywają chorych i ich rodziny słowami czczemi.

Czem jest jąkanie się? Uważajmy tylko na takiego nieszczęśliwego człowieka, na jego usta, a z pewnością spostrzeżemy przyczynę jąkania. Chce mówić. Braknie mu głosu. Próbuje wydobyć głosy z gardła, nie udaje mu się, kiwa teraz głową, rusza rękami i nogami, nareszcie wychodzi słowo zwalniające męki. Teraz może naraz mówić, wymawiać całe zgłoski, bez zająkania się, póki nieszczęśliwa przeszkoda znowu się

nie pojawi, i znowu się dławi, kręci i dręczy, szuka powietrza.

Brak powietrza! Na tem polega choroba. Jąkała robi wrażenie człowieka, który biegał zbyt szybko, który wyczerpał zapasy tchu w piersiach. Rzeczywiście u obu dwóch stało się jedno i to samo. Płuca są bez powietrza. Muszkuły głosowe wydają w gardle tylko wtenczas dźwięki ze siebie, kiedy powietrze nad niemi przechodzi. Ponieważ z płuc przez gardło nie przechodzi powietrze, dla tego muszkuły nie wydają żadnego dźwięku, nie można mówić, wyzionąwszy wpierw powietrze z płuc. Pokaże się to samo co u jąkających się. — Kiedy miechy próżne, organy muszą milczeć.

Lecz czemu pokazuje się to tylko u jąkałów? Ponieważ cierpią na chorobę. Jeżeli się takową zaniedba, to w późniejszych latach powstają choroby serca i płuc, czasem ruptury i ciężkie choroby brzuszne. U wszystkich jąkałów okazuje się wielka słabość nerwowa, są rozdraźnieni, ponieważ płuca i serce nieregularnie działają, ponieważ duch jest niespokojny, kiedy chory ciągle musi myśleć o tem, że wnet będzie się musiał męczyć, chcąc wymówić literę »b« lub »m«.

Jąkanie się jest głównie chorobą oddychania. Przyczyną choroby nie jest kurczowy ruch płuc lecz opłucnej (zwerchfell), która wielkie ma znaczenie, kiedy chodzi o to, aby tworzyć dźwięki. Kiedy głęboko odetchniemy, to opłucna się płaszczy, potem znowu wzdyma się w górę, jak balon, kiedy powietrze wychodzi z płuc. Przytem opłucna ciśnie nieco na wątrobę. Opłucna jest chorą u jąkałów, rusza się kurczowo nieregularnie, drzy i drga, a to wszystko udziela się też płucom. Zwykle są też u takich chorych żebra nie dobre i źle wykształcone. Zwykle jąkały oddychają tylko górnemi płucami, z którego to sposobu oddychania pochodzą suchoty, mianowicie u ludzi miejskich.



BITWA POD MISSOLUNGHI. (Obacz objaśnienia rycin na str. 256.)

Pochodzi zwykle choroba opłucnej i jąkanie się z tego, że chory się uderzył, albo że go uderzono, ze strachu, skutkiem mocnego łechtania lub bicia w dzieciństwie. Czasem to skutki jakiej choroby dziecięcej, czasem człowiek źle rósł, lub odziedziczył złą i niedokładną budowę ciała. W setnych przypadkach przekonałem się, że jąkały się dzieci, których rodzice pobrali się mimo bliskiego pokrewieństwa. W tych i innych przypadkach pokazuje się, jak mądrze postępuje kościół, zakazując małżeństwa pomiędzy krewnymi i powinowatymi.

Ponieważ jąkanie się jest głównie chorobą oddechową, dla tego trzeba chorego powoli uczyć jak ma należycie oddychać, jak ma należycie zużyć zapasu powietrza nagromadzonego w płucach. Póki chory nie oddycha równo. głęboko, to nie opłaci się ćwiczyć chorego w czytaniu i mówieniu. Równocześnie trzeba leczyć nerwy, mianowicie za pomocą zimnej wody i elektryczności, zważać też należy na to, aby chory żywił się dobrze, dostatecznie i odpowiednio. Dla tego najlepiej, kiedy chory leczy się w zakładzie pod ciągłym dozorem lekarza.

Leczenie udaje się czasem w kilka dni. W tygodniu, a nawet w pięciu dniach, wyleczyłem młodzieńców jąkających się tak bardzo, że nawet swego nazwiska wymówić nie mogli. U innych poprawiło się dopiero po wielu tygodniach lub miesiącach.

Jakże wdzięczni są ci, którzy mogą uleczeni wrócić do domu. Często ludzie śmieją się i szydzą z zająkałów, dzieci są nawet okrutnemi dla chorych

i nieszczęśliwych swych rówienników i rówienniczek. Nad kaleką litują się ludzie, z jąkały śmieją się chociaż to kaleka na mowie. Jąkała od dzieci przechodzi niesłychane męczarnie. Przy zabawie inne dzieci wyśmiewają jąkałę i sprzeciwiają mu się. Nic nie umiesz, wołają, nie możesz nawet wymówić: nie pieprz Pietrze pieprzem wieprza. W szkole równie dzieci drwią z niego, a nauczyciel czasem jest dla niego surowym: niczego się nie nauczyłeś, mówi mu, a teraz się jąkasz. A chociaż się dobrze nauczył wszystkiego, siada ze łzą w oczach. Tak idzie przez cały czas szkólny, dziecko jąkające się gorzknie, staje się często złem, mściwem, jest pełne nienawiści. Teraz jąkała wchodzi w życie. O jakie czekają go znowu udręczenia! Zawczasu musi się wyrzec wszystkiego. Kiedy inni się cieszą, on musi stać na boku, a boleśniej aniżeli słowa odmawiające jest dla niego uśmiech na pół szyderczy na pół litościwy, z jakim go przyjmują we wesołem towarzystwie. Któż przyjmie jąkałę za ucznia, do handlu? Bogaty jąkała może się uczyć dla swej przyjemności, lecz żadnego urzędu objąć nie może. Niejeden z takich nieszczęśliwych stracił wiarę w ludzi i Boga, skoro wszystkie nadzieje go zawiodły, skoro żadne marzenie jego się nie spełniło, stracił rozwagę z rozpaczy i życie sobie odebrał

Rodzice, których dziecko się jąka, nie powinni się kontentować tem, że im jaki lekarz powie: to minie. Niech rozważą, na jakie męczarnie ciała i ducha wystawiają swe dziecko. Niech oddadzą w ręce lekarzy, którzy się zajmują szczegółowo jąkałami, ile możności do jakiego zakładu. Jeżeli nie mają na to, niech się starają u gminy lub prowincyi o pomoc. Dobrym zakładem dla jąkałów jest Denhardta w Droznie. W innych krajach są też znamienite zakłady tego rodzaju. We Warszawie leczy jąkałów dr. Oltuszewski. Liczba jąkałów jest większa aniżeli się myśli, przynajmniej jeden na sto ludzi jąka się. W Niemczech jest dzieci jąkających się najmniej sto tysięcy. Dr. Gutsman ćwiczy nauczycieli jak mają uczyć jąkające się dzieci, i już najmniej 300 wyćwiczył. Rodzice powinni więc dbać o takie nieszczęśliwe dzieci i szukać pomocy, która się im nadarza.

CHLEB.

Kazimierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męski,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia latem zwędzona parnem
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem,
Wzięte na wiosnę nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba
Chlebem się dzieli z swoim sąsiadem,
Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas król chłopków, swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył;
Lud błogosławił temu ludowi,
Którego ziarnem był ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,
On widząc powszechną nędzę,
Gdzie nie mógł swoje dorzucić ziarno,
Hojne posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległą była,
Wisły przepasana wstążką,
Czołem się w wodach Bałtyku myła
Stopę oparłszy o Szląsko.

A tak powszechny był niedostatek
I wszędzie równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dojść mogły chatek
Pańskie pieniądze, ni chleby.

W onym to roku powszechnej nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; ździerstwem, mnogo pieniędzy
I ziarna mnogo nazbierał

I choć zamożny z łońskiego zbioru,
W kmiecią siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku, stara niewiasta
Z przydrożnej wybiegła chaty.

I woła: »Ratuj! jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztora
Chleba bochenek pod szatą.

Podziel się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka:
»Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.«

»Babo!« rzekł panek, »pokój daj święty,
I nie zatrzymuj mię w drodze,«
I znów litością niby przejęty,
Dodał: »Zawiodłaś się srodze:

Nie chleb ja niosę lecz kamień prosty,
U nas bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle mej chatki.«

Na to niewiasta: »Człeku! tyś skłamał:
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
O Boże! w kamień Ty zamień.«

Ledwie co rzekła, panek postrzega,
Że chleba bochen ociężał;
Ciężarem swojem ramię przylega
Na twardy kamień, bo stężał.

Struchlał, czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie, w klasztornym ganku,
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

(Dokończenie.)

Nie pomogło, że cesarz powiedział broniąc się, że Dawid też popełnił mord i nieczystość. Ambroży rzekł mu: kiedyś naśladował Dawida w grzechu, naśladuj go i w pokucie.

Te słowa poruszyły serce Teodozyusza, przez ośm miesięcy wstrzymał się od kościoła, w pałacu niebrał na siebie żadnej oznaki władzy cesarskiej. Kiedy w modlitwie i we łzach pokutę czynił, lud modlił się za niego w kościele. Tymczasem nadchodziło Bożenarodzenie. Rano pierwszego święta znalazł cesarza Rufinus, zaufany jego minister, który go był do mordu pobudził, we łzach, a kiedy go się spytał, czemu płacze, odpowiedział cesarz: muszę płakać na myśl, że świątynia Boga jest otwarta dla niewolników i żebraków, a dla mnie zamknięta, a z nią i zamknięte niebo. Rufinus ofiarował się z poselstwem do biskupa, aby go skłonić do pojednania. Lecz cesarz rzekł mu: daremnie prosić będziesz. Uznaję, że wyrok jest sprawiedliwy. Wzgląd na wielkość światową nie spowoduje Ambrożego, aby działał przeciw prawu boskiemu. Mimo to poszedł Rufinus do Ambrożego, a i cesarz szedł za nim w pewnem oddaleniu. Biskup skarcił ministra, że niewłaściwe stawia żądanie, i że on, jako sprawca mordu mówi o tem bez wstydu. W końcu groził, że prędzej śmierć poniesie, nimby pozwolił cesarzowi do przedsionka świątyni wstąpić. Rufinus kazał donieść cesarzowi o słowach biskupa, który rzekł: przyjdę i zniosę upokorzenie, na które zasłużyłem. Nie wszedł do kościoła, lecz do budynku obok położonego, w którym Ambroży przyjmował tych, którzy do niego po radę się udawali, i prosił, aby zdjęto z niego klątwę. Ambroży sądził, że jako sługa boży i wiary musi ostro czuwać nad prawami, jakie wydał kościół, i uważał, jakoby cesarz gwałtem chciał wymódz odpuszczenia kary i grzechu, i dla tego rzekł: buntujesz się, cesarzu, przeciw Bogu i depcesz nogami prawa Jego. Nie, odpowiedział Teodozy, szanuję przykazania boskie, i ponieważ prawo kościelne mi zakazuje, dla tego nie wchodzę w święte progi świątyni, lecz proszę cię, abyś mnie rozwiązał z mych więzów i pamiętny na miłosierdzie Tego, który jest wszystkich nas panem, abyś mi nie zamykał drzwi, które Pan otwiera wszystkim pokutę czyniącym. Lecz

powiedz mi, zapytał Ambroży cesarza, jaką pokutę uczyniłeś za grzech okropny, jaki popełniłeś? jakich leków użyłeś, aby wyleczyć wielkie rany duszy swej? To twoja rzecz, odpowiedział cesarz, abyś mi przepisał i zgotował leki, moją rzeczą jest przyjąć takowe.

Ambroży przekonał się teraz, że cesarz szczerze żałuje za grzechy i wpuścił go do kościoła. Lecz Teodozy musiał przyobiecać, że wyda prawo, według którego każdy wyrok śmierci może być wykonanym nie prędzej, jak po 30 dniach, od kiedy wydanym został. Kiedy Teodozy wszedł do kościoła, upadł na ziemię, skropił ją łzami swemi i modlił się tak: Dusza moja przyschła do ziemi, ożyw mnie Panie według słowa twego. Lud patrząc na to, był bardzo wzruszony i połączył swe modły i łzy z modłami i ze łzami cesarza. Na Ambrożego cesarz wcale się nie gniewał, że wykonał na nim prawo kościelne bez względu na osobę. Owszem wyznał otwarcie przed arcybiskupem Nektariuszem z Konstantynopola: jednego tylko znam, który jest godnym być biskupem — Ambrożego.

Ambroży odznaczał się też bardzo dobroczynnością. Już powiedzieliśmy, że kiedy został biskupem, to rozdał swoje mienie pomiędzy ubogich. Kiedy pewnego razu podano na sprzedaż pojmanych we wojnie chrześcian, według zwyczaju pogańskiego, Ambroży sprzedał złote i srebrne naczynia kościelne, których jeszcze w kościele nie używano, a za to wykupił biednych ludzi. Lecz byli i tacy, którzy to ganili. Ambroży jednak oświadczył, że gdyby było tego potrzeba, toby sprzedał na ten cel naczynia już w kościele używane. Miłość bliźniego jest ważniejsza aniżeli skarb kościelny, bo Kościół został założony bez złota. Kościół ma złoto nie na to, aby je chować, lecz na to, aby takowe zużyć na dzieła miłości; ciało Chrystusa Pana dało moc wykupienia złota, w którem spoczywało. W razie potrzeby wolno naczynia poświęcone użyć na dobro ludzkości. Ubodzy są skarbem Kościoła jak wykazał św. Wawrzyniec, który, kiedy żądano od niego, aby wydał skarby kościelne, namiestnikowi przedstawił ubogich miasta mówiąc: oto nasze skarby kościelne.

Ambroży rządził Kościołem w Medyolanie 22 lata, lecz działał daleko po za granice dyecezyi, sława nazwiska jego zapełniała cały Kościół. Ze wszystkich stron przybywali ludzie, aby podziwiać wymowę Ambrożego, aby szukać u niego pouczenia i rady. Świetnym owocem wymowy biskupa, którą porywał wszystkich, było nawrócenie św. Augustyna w r. 387. Nawet pomiędzy pogan dostała się sława Ambrożego. Królowa Markomanów, którzy mieszkali w dzisiejszych Węgrzech, wysłała do niego poselstwo, prosząc o nauczycieli chrześciańskich, aby nauczyli ją prawd chrześciańskich. Ambroży spełnił jej życzenie. Królowa została chrześcianką i tak pragnęła widzieć Ambrożego, że puściła się w podróż do Medyolanu, lecz już nie zastała Ambrożego przy życiu.

Liczne pisma, jakie zostawił Ambroży, sprawiły, że policzył go Kościół do czterech doktorów Kościoła łacińskiego obok św. Augustyn, Hieronima i Grzegorza W. Ułożył też Ambroży wiele pięknych hymnów, które się jeszcze dziś śpiewają w kościele. Sławnym jest hymn ambrozyański: »Te Deum laudamus«, Ciebie Boże chwalimy, który św. Ambroży śpiewał naprzemian ze świętym Augustynem kiedy tenże został ochrzconym.

Strach ma wielkie oczy.

Pani Fijałkowska była tęgą gospodynią w Cielątkach. Zaliczała się ona już do lepszej klasy ludzi, zawsze mówiła, że pochodzi z rodu obywatelskiego. Gdy przyjechała do Cielątek, zdawało ci się, że to jaka krewna dziedziczki jegomościanki. Inne gospodynie przynoszą sobie zapas rzeczy, które ze sobą przywożą, same na wieś. Pani Fijałkowska poprosiła państwo dziedziców, ażeby po rzeczy do miasta posłali duże furmanki, choć było ich zaledwie tyle, że mogła je sobie była śmiało przynieść pod pachą. Darujmy jej jednak tę próżność. Toć żaden człowiek na świecie nie jest bez »ale« a w dawniejszych czasach różnice stanu tem więcej się uwydatniały, jak dzisiaj. Pani Fijałkowska nie była zresztą złą kobietą, owszem państwo dziedzice nie mogli jej sobie nachwalić. Dzielnie gotowała, tak była przytem gorliwą, że od gorąca kuchennego policzki jej płonęły rumieńcem, jak u panny młodej, gdy spiecze raczka pod wpływem jakiejkolwiek przygody przyjemnej lub nieprzyjemnej. Najwięcej cierpiał na tem nosek pani Fijałkowskiej. Otoczenie jej twierdziło, — co za zuchwałość, — że nos rozkwita pod wpływem — gorących napoi. Czy tak było, nie chcemy twierdzić, ażeby nie obrażać zacności pani gospodyni, pochodzącej, jak wiadomo, z rodu obywatelskiego. Oburzała się i ona na te plotki, narażające jej sławę, no i nos na szwank, ale pocieszała się, że niema pewnie człowieka na świecie, któryby nie musiał cierpieć, wszyscyśmy na to skazani. To panią gospodynią uspakajało. I byłoby życie jej płynęło wśród zadowolenia wewnętrznego, gdyby nie następujący wypadek, który takowe zaprawił na pewien czas goryczą.

Pewnej nocy, mimo twardego snu, zdaje mi się — tak opowiada sam dziedzic, — że słyszę przez ścianę jakieś jęki i głośny szloch dziecka. Obok mej sypialni znajdował się pokoik pani Fijałkowskiej, nikt zatem inny nie mógł jęczeć, jak ona a płacz jest widocznie płaczem dziecka. Zrywam się tedy, zapalam świecę i biegnę się dowiedzieć, co tam zaszło. Okropność, co się tam dzieje! Fijałkowska wije się na łóżku i jęczy tak przeraźliwie i charczy i zrywa się nieprzytomna z obłąkanym wzrokiem, iż zdaje się, że za chwilę wyzionie ducha. Dziewczyna siedzi na ławce obok łóżka i zawodzi, a na moje pytanie wśród płaczu i łkania plecie trzy po trzy, czego zrozumieć nie mógłem.

— Co pani jest, co się stało? — pytam, zbliżając światło do chorej.

— Tu, tu, — krzyczy pokazując na piersi i niżej, — straszne boleści... O święta Maryo, Boga Rodzicielko... o rany przenajświętsze... ratujcie... ach... ach... ratujcie!...

Okropnie też wyglądała... Twarz ogromnie zmieniona, oczy zamglone, a cała prawie już sina.

— Cholera — zawołałem z najwyższem przerażeniem. Każdy, co kiedyś może widział człowieka, u którego się objawiła, z pewnością nie postąpiłby sobie inaczej.

Nie tracąc chwili, pobiegam zbudzić dziewkę, walę do drzwi mieszkania woźnicy, ażeby jego kobieta przyszła, a ja rozbudziłem ekonoma. Na wsi ludzie nie są tak skorzy do rozbudzenia się, jak się to nam nerwowym mieszczuchom zdarza, którym brzęk muchy może sen odjąć. Więc nim tam jedno i drugie wstało, nim się wyziewało i ubrało, trwało zwykle dość długo, a tu chorej nie można było w tym stanie zostawić. Rozpalam zatem sam ogień na kominie, grzeję pokrywki, a obwiązawszy w serwetę, niosę chorej do przykładania, W kwadrans przychodzi rozespany ekonom, przybiegają i drudzy i nuże wszyscy za moim przykładem. Grzejemy pokrywki, robimy co możemy, kobiety trą nieszczęśliwą szczotkami, aż się przytem pociły, ale skutek był przeciwny. Chora słabła coraz więcej — może to tarcie

też się trochę przyczyniło do tego — a kurcz nie ustępował.

— Cholera — szepnąłem do ekonoma. Osłupiał, wyłupiwszy na mnie zaspane oczy i trzymaną w ręku pokrywkę upuścił z przerażenia.

— Biegnij co tchu do stajni, rozbudź którego z parobków, niech zaprząga i pędzi co tchu do doktora.

— Proszę jaśnie pana, parobcy są z końmi na polu.

— Zbudzić natychmiast Jaśka, niech jedzie parą cugowych...

Jasiek był to pół lokaj przyszły, pół ogrodniczek, już coś lepszego od zwykłego parobka, ale końmi umiał powozić. Ekonom wyszedł, mnie tymczasem się przypomina, że żona w dniu następnym ma zawitać do Cielątek. Boże drogi! przyjedzie chyba na pewną śmierć, bo że to cholera, to pewne, jak że dwa razy dwa jest cztery. Cóż tu począć! Poślę telegram. Ale jak go ułożyć? Napisać powód, to się przelęknie w obawie o mnie, nie podać powodu, to się również będzie niepokoić. Wśród tych rozmyślań wybija czwarta godzina. Zerwałem się z krzesła. Toć to nawet na telegram zapóźno — pomyślałem. Do dworca kolei dobre trzy godziny czasu, Franciszek nie zdąży na czas oddać telegramu. Żona już będzie w drodze, a rodzice na widok telegramu podwójnie się zaniepokoją. Pojadę zatem sam i uprzedzę żonę. Zabieram się do dania Franciszkowi odpowiednich rozkazów, gdy wpada nagle ekonom Sieczkowski.

— Jaśnie panie!

— No i cóż? umarła... — pytam, myśląc po jego bezradnej minie o Fijałkowskiej.

— Jasiek nie może jechać...

— Dla czego nie, — pytam uśmiechnięty. — Niechże zatem jedzie kto inny, skoro on jechać nie może. Pan wpadasz, jak gdyby już umierał...

— Jaśnie panie, — odzywa się na to z płaczliwą miną, — niewiele mu już brakuje do śmierci.

— Jakto?... Czyby... — zapytałem, jak gdyby przeczuwając powód choroby.

— To samo co u Fijałkowskiej; zaszedłem do oficyny, żeby go obudzić, a tu patrzę, Jasiek się tarza, nieprzymierzając jak wąż po podłodze, a wrzeszczy za przeproszeniem jedno i drugie, że aż strach.

NIETOPERZE.

(Ciąg dalszy.)

Brehm pisze: »W Grecyi, we Włoszech i w Hiszpanii, spotykamy wielką obfitość nietoperzy. W tych krajach, za nastąpieniem zmroku, już nie setki, ale tysiące ich wyłażą z kryjówek i napełniają powietrze. Wypełzają z każdego domu, z każdej szczeliny muru, z każdej rozpadliny skały, a już ze zmrokiem całe ich zastępy uwijają się w powietrzu. Lecz to wszystko jest niczem w porównaniu z mnóstwem nietoperzy jakie widzimy w gorących krajach. Zabawnie jest przepędzać wieczory u bram wielkiego miasta na Wschodzie albo w Indyach. Roje nietoperzy, które zmrok budzi do życia, zaciemniają tam, dosłownie mówiąc, powietrze. Liczby ich odgadnąć nie podobna, gdyż zewsząd kłębią się w powietrzu nowe ich roje. Wszędzie powietrze zdaje się żyć i poruszać; pomiędzy drzewami ogrodów, gajów i lasów słychać pisk i widać lot niezliczonych ich gromad; toż samo w polu, na ulicach miasta, na dziedzińcach domów i w izbach w większej lub mniejszej wysokości nad ziemią. Setki ich ukazują się od razu i setki znikają nagle, otaczając nas nieprzerwanym rojem. Sławnemi w całem tego słowa znaczeniu stały się jaskinie w Texas, dające przytułek niezliczonym milionom nietoperzy. Lot ich zaciemnia powietrze

i sprowadza mrok zupełny, a roje ich, zdaleka widziane, czynią wrażenie kłębów dymu wznoszących się do góry. Jaskinie te słyną nie tylko z niezliczonej liczby nietoperzy, którym służą za kryjówkę, lecz i z potężnych pokładów ich odchodów, nagromadzonych w ciągu długiego lat szeregu i stanowiących wyborny nawóz. Wszędzie, gdzie się nietoperze znajdują, gromadzi się ten gnój w większej lub mniejszej ilości, lecz nie w takiej jak we wzmiankowanych jaskiniach, a rząd skorzystał z tego, tworząc sobie nowe źródło dość znacznego i trwałego dochodu, ponieważ pokłady tego guana po krótkim stósunkowo czasie, znowu się nagromadzają. W jednej z tych jaskiń ilość znajdującego się w niej guana obliczono na dwadzieścia tysięcy ton.

Należy nam na tem miejscu powiedzieć słow kilka o śnie zimowym, w który zapadają wszystkie mieszkające u nas gatunki nietoperzy. Altum powiada: Skoro w jesieni temperatura się obniży i noce staną się zimne, wtedy nasze nietoperze szukają zacisznych i ciepłych kryjówek w dziuplach drzew i w rozpadlinach skał, w szparach murów, za szalowaniem ścian drewnianych, w piwnicach lub naturalnych skalistych jaskiniach. Nie nadto wybredne w wyborze, wymagają wszakże, aby te kryjówki były ciepłe, suche, zasłonione od góry, zabezpieczone od przeciągu i opatrzone otworem do wejścia i wylotu. Mocno byłem zadziwiony odkrywszy gromadę drobnych nietoperzy pogrążonych w zimowem odrętwieniu pomiędzy rynną a zewnętrzną ścianą dużego domu; miejsce to wszakże było zupełnie zasłonięte od wiatru, a z góry przykryte gzymsem i występującemi dachówkami. W dziuplach drzew przekładają wązkie rozpadliny nad otwory wznoszące się w prostym kierunku ku górze. Ciepło ich wewnętrzne opada powolniej niż temperatura ciała, tętno i oddychanie stają się wolniejszemi, pokarmu wcale nie przyjmują. Leniwo odbywające się te ich funkcye życiowe podtrzymywane są zasobem nagromadzonego w organizmie pod koniec lata tłuszczu. Przy 1^0 R. żyją jeszcze, lecz marzną przy większem obniżeniu się temperatury. Przy podnoszeniu się temperatury na wiosnę, ciepło ich krwi szybko wzrasta, budzą się ze swego letargicznego uśpienia bardzo wychudzone, ale w krótkim czasie przychodzą zupełnie do siebie.« Nie wyjaśniono jeszcze dostatecznie, czy są takie gatunki, które unikając snu zimowego, przenoszą się na zimę do cieplejszych, południowych krajów.

Nie wszystkie gatunki nietoperzy żywią się owadami, czyniąc przez to wielką przysługę gospodarstwu przyrody. Na wyspach indyjskich i w Afryce istnieje rodzaj nietoperzy, liczący około trzydziestu gatunków, żywiących się wyłącznie soczystymi owocami i wyrządzających niekiedy człowiekowi znaczne szkody. Jest to rodzaj zwany psami latającemi, z których największym jest Kalong czyli Rudawka, ponieważ ma do 40 centm. długości a siąg jego, to jest rozpostarte błony lotne, dochodzi do $1\frac{1}{2}$ metra, a więc tyle jak u największych naszych drapieżnych ptaków. We dnie zwierzęta te, skupione w wielkie gromady, wiszą zaczepione zadniemi nogami za gałęzie drzew, głowami na dół, otulone jak płaszczem lotną błoną, w głębokim śnie pogrążone. Skoro nastanie wieczór, cała gromada budzi się ze snu i pod wodzą doświadczonego i silnego przewodnika, długim szeregiem wylatuje na żer. Biada sadom na które rzesza taka napadnie, gdyż setki tych szkodników spadają często na jedno drzewo i ogołacają je do szczętu z owoców. Wysysają tylko słodki sok z owocu, miazgę zaś rzucają na ziemię; ztąd więcej zniszczą niż pożrą owoców. Wszelkie środki w celu odstraszenia ich nie wiele pomagają, ponieważ szkodniki prędko się z nimi oswajają i nie lękają się ich wcale. Tylko plecione osłony i mocne sieci, któremi korony drzew bywają otaczane stanowią dostateczną ochronę przeciwko tym rabusiom. W celu zdobycia pożywienia przedsiębiorą często odległe podróże, nawet w razie jego niedostatku, nie odstraszają ich szerokie odnogi morskie,

po nad któremi przelatują wielkiemi gromadami, ale zawsze szeregiem, jeden za drugim. Spostrzeżono, że w razie grożącego niebezpieczeństwa wznoszą się w wyższe warstwy powietrza i wtedy podobne są do stada kruków z powodu ciemnego ich ubarwienia. Zresztą oprócz szkód jakie sprawia w ogrodach i sadach rudawka czyli pies latający, tak nazwany z powodu kształtu pyska, zupełnie do psiego podobnego, niczem nie zasługuje na prześladowanie i potępienie. Jest to zwierzę spokojne, a wszelkie opowiadania o krwiożerczych jego zachciankach, są czczym wymysłym. Wprawdzie u rzeszy rudawek wielkie powstają kłótnie o wygodniejsze miejsca do spania na gałęziach drzew, a powstawający przytem nieznośny gwar złożony z ciągłego warczenia, syczenia i pisku, daje się słyszeć z wielkiej odległości. Wojna wypowiedziana rudawkom pustoszącym pewną okolicę nie byłaby zbyt trudną, gdyż łatwo do nich strzelać gdy przelatują długim rzędem wieczorami, albo też we dnie podczas ich spoczynku, do czego obierają zwykle jedno drzewo.

Właściwe nietoperze dzielą na dwie wielkie gromady, w miarę tego jak nos ich i nozdrze są opatrzone błoniastem zdwojeniem skóry, albo też tej opony nie mają. Pierwsze są listkonose, drugie gładkonose.

Z pomiędzy gładkonosych najlepiej jest znanym Długouch, zamieszkujący całą Europę z wyjątkiem najbardziej północnych jej okolic. Nazwę swoją otrzymał od niezwykle rozwiniętych długich uszu, które zwierzę wisząc na zadnich nogach, zwykle pod ramiona podkłada.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Bitwa pod Missolunghi. Missolunghi, forteca położona w Grecyi nad zatoką Patras, jest słynna z powodu walk, jakie w około niej w końcu zeszłego i na początku tego wieku staczano. Założona przez rybaków doszła z powodu swego bardzo korzystnego położenia do znaczenia i dobrobytu. Ze strony morza zabezpieczoną jest od wylewów tegoż ogromnymi wałami i dwoma fortecemi, ze strony lądu wałami i fosami. Mieszkańcy, znając ważność fortecy we wojnie i wiedząc, że trudno ją zdobyć, podnosili niejednokrotnie bunt przeciw Turkom, chcąc się dobić wolności Grecyi, która wtedy jęczała pod okropnem jarzmem tureckiem. W roku 1821 oblegało fortecę 11 tysięcy Turków. W mieście znajdowała się garstka walecznych pod wodzą księcia Maurokordatosa, który dowiedziawszy się o oblężeniu, wypadł niespodzianie na Turków i taką im zadał klęskę, że musieli z wstydem od oblężenia odstąpić. Sławnem jest oblężenie w roku 1825. Wtedy to znajdował się w fortecy waleczny Nolos Bozzaris z 4000 żołnierzy. Obległo go 35 tysięcy Turków od strony lądu, od strony morza zaś stało 10 okrętów wojennych. Mimo to garść oblegających broniła się tak dzielnie, że Turcy po przeszło miesięcznem bombardowaniu fortecy musieli odstąpić. Raz jeszcze obstąpił sławny turecki basza Ibrahim fortecę z przeszło 8000 Arabów i Europejczyków, ale jej zdobyć nie mógł. Głód zmusił w końcu oblężonych do tego, że powzięli rozpaczliwy zamiar, ażeby się przedrzeć przez zastępy nieprzyjaciela. Kilkoma się to tylko udało, reszta zginęła w boju bohaterskim. Turcy zaczęli się teraz wdzierać do miasta, ale mieszkańcy postanowili zginąć, a się nie poddać. Podłożyli pod miasto miny, zapalili je i wraz z wdzierającemi się Turkami wysadzili je w powietrze. Obrazek na str. 256 przedstawia nam chwilę pożegnania się wzajemnego, pożegnania ostatniego na tej ziemi.

Podkuwanie wołów w Styryi. Styrya, Sławonia, Karyntya i Kraina są krajami należącymi do Austro-Węgier. Kraje te są górzyste; rólnictwo stoi tam zatem na niższym stopniu kultury. Ludność w tych krajach należy w głównej części do szczepu słowiańskiego, w którym poczyna obecnie potężnie rozwijać się poczucie narodowe. Panuje tam jeszcze do dziś zwyczaj podkuwania wołów roboczych, który jest poniekąd koniecznością w tej pagórkowatej krainie. Obrazek nasz na stronie 256 przedstawia właśnie sposób podkuwania wołu. Umieszczają go w rodzaju klatki i przymocowują w niej tak, że się poruszać nie może.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp. w zast.: D. Kowalski w Bytomiu.

Czarne chleby.

Mikołaj Nerli był onego czasu bankierem w szlachetnem mieście Florencyi. Siedział przy pulpicie, kiedy dzwoniła tercya, siedział jeszcze przed nim, kiedy dzwoniła nona, i stawiał cyfry na tabliczkach. Pożyczał pieniądze cesarzowi, panom i miastom. A jeśli nie pożyczał djabłu, czynił to tylko dla tego, że bał się wikłać w sprawy z tym, który nosił miano »licha« i obfity jest w wybiegi. Mikołaj Nerli był śmiały i nieufny. Wyzuł z mienia wielu ludzi i zgromadził wielkie bogactwa. Zażywał tedy czci i honorów w mieście Florencyi. Mieszkał w pałacu, do którego światło niebieskie wchodziło tylko przez wąskie okna. Powodował się roztropnością: bo dom bogacza winien być jak twierdza, a ci, którzy posiadają wielki dobytek, czynią mądrze, broniąc siłą, co zdobyli podstępem.

Pałac Mikołaja Nerli był warowny w kraty i wrzeciądze. Zewnątrz mury były malowane przez biegłych rzemieślników, którzy przedstawili cnoty pod postacią niewiast, patryarchów, proroków i królów Izraela. Kobierce, rozwieszone w komnatach, bawiły oczy dziejami Aleksandra i Tristana, opiewanemi w romansach. W mieście rozgłośne było bogactwo Mikołaja Nerli przez pobożne fundacye. Wzniósł po za murami szpital, którego fryz w rzeźbie i malowidłach przedstawiał najbardziej szanowne dzieła jego żywota. Z wdzięczności za datki pieniężne na ukończenie St. Maria Novella, portret jego wisiał w chórze kościoła. Klęczał tam ze złożonemi rękami u stóp Najświętszej Panny. Można go było poznać po wełnianym, czerwonym czepcu, podszytym futrem, i z rysów oblicza, zatopionych w żółtym pokładzie tłuszczu i po małych, bystrych oczach. Jego żona, dobra Mona Bismantowa, z wyrazem twarzy skromnym i smutnym, takim, jakby nigdy nikomu w życiu nie była miłą, zajmowała miejsce po drugiej stronie Najśw. Panny, kornie pochylona w modlitwie. Mąż ten był jednym z pierwszych obywateli Rzeczypospolitej; a że nie mówił nigdy przeciw prawom i nigdy nie troszczył się o biednych, ani o tych, których mocarze dnia skazywali na grzywny i wygnanie, przeto w opinii radnych nic nie zmniejszyło szacunku, jaki pozyskał w ich oczach przez wielkie bogactwa.

Jednego zimowego wieczoru, kiedy później niż zazwyczaj powracał do swojego pałacu, otoczyła go u progu drzwi gromada półnagich żebraków, wyciągając ręce.

Rozpędzał ich twardemi słowy. Ale głód dawał im, jak wilkom, dzikość i zuchwałość. Otoczyli go kołem i wołali o chleb głosem płaczliwym i ochrypłym. Schylił się już, aby zbierać i rzucać kamienie, gdy wtem spostrzegł, że nadchodzi jeden z jego domowników, niosąc na głowie kosz czarnych chlebów, przeznaczony dla czeladzi ze stajni, kuchni i ogrodów.

Dał znak, aby się zbliżył, i zagłębiając ręce w koszu, rzucił chleby nędzarzom. Wróciwszy do domu, położył się i zasnął. We śnie, rażony apopleksyą, zmarł tak nagle, iż zdało mu się, że jeszcze nie opuścił łóżka, kie-



Hrabia Agenor Gołuchowski,

Polak, syn zmarłego namiestnika Galicyi, urodził się w roku 1849. W roku 1872 wysłano go do Berlina na sekretarza poselstwa austryackiego, krótko potem przeniósł się do Paryża, gdzie przeszedł gruntownie szkołę polityczną. Tam poznał obecną swą żonę, księżniczkę Murat, prawnuczkę króla neapolitańskiego. Od roku 1887 był posłem austryackim w Bukareszcie w Rumunii. W początkach roku ubiegłego usunął się od spraw publicznych zupełnie i zajął się zarządem swych obszernych dóbr w Galicyi, zkąd 17-go Maja rb. powołał go cesarz na stanowisko pierwszego swego urzędnika, bo na ministra spraw zagranicznych dla Austryi i Węgier.

Hrabia Gołuchowski jest mężem wysokich zdolności i odda z pewnością niemałe usługi na swym odpowiedzialnym urzędzie.

dy ujrzał w głuchej ciemności św. Michała, jasnego światłem, promieniejącem z jego ciała.

Archanioł, z wagą w ręku, obciążał szale. Rozpoznając po jednej lżejszej stronie wdowie klejnoty, które trzymał w zastawie i mnóstwo zrzynków, które okroił bezprawnie z monet, i znane mu sztuki złota, bardzo piękne, które sam tylko posiadał, nabyte lichwą i oszukaństwem, Mikołaj Nerli zrozumiał, że to jego życie, już zamknięte, św. Michał waży przed nim w tej chwili. Począł być uważny i zamyślony.

— Messer san Michele — rzekł — jeśli na jednej szali mieścisz wszystek zysk, jaki miałem w życiu, połóż na drugiej, jeśli łaska, piękne fundacye, w których hojnie okazałem moją pobożność. Nie zapominaj ani o kopule S. Maria Novella, do której przyłożyłem się wzwyż trzeciej części, ani o szpitalu, który zbudowałem poza murami, cały za moje denary.

— Nie obawiaj się, Mikołaju Nerli — odparł Archanioł. O niczem nie zapomnę.

I błogosławioną ręką położył na lżejszej szali kopułę Panny Maryi i szpital z fryzem rzeźbionym i malowanym. Ale szala nie opadła.

Bankier uczuł żywy niepokój.

— Messer san Michele — przemówił — szukaj jeszcze lepiej. Nie położyłeś na tej stronie wagi ani kropielnicy u św. Jana, ani kazalnicy u św. Andrzeja, na której chrzest naszego Pana Jezusa Chrystusa wyobrażony jest w figurach ludzkiej wielkości. Koszt był duży.

Archanioł umieścił na szpitalu kropielnicę i ambonę. Szala nie obniżyła się. Czoło Mikołaja Nerli skrapiał pot zimny.

— Messer Archangelo — zapytał — czy jesteś pewny, że waga jest rzetelna?

Św. Michał odpowiedział z uśmiechem, że jakkolwiek nie jest robiona na wzór wag, jakich używają w paryskich lombardach i kantorach weneckich, nie zbywa jej bynajmniej na dokładności.

— Jakto! — jęknął Mikołaj Nerli, wybladły — ta kopuła, ta ambona, ta kropielnica, ten szpital z tylu łóżkami, nie ważą więcej, niż źdźbło słomy, niż puch ptasi?

— Widzisz Mikołaju — rzekł Archanioł — że dotychczas brzemię twoich nieprawości przewyższa o wiele lekką wiązkę dobrych uczynków.

— A więc mam iść do piekła, — rzekł Florentyńczyk.

I szczęknęły mu zęby z przerażenia.

— Cierpliwości, Mikołaju Nerli, — odparł wódz niebieski, — cierpliwości! Nie skończyliśmy. Jeszcze to pozostaje.

I święty Michał ujął czarne chleby, które bogacz rzucił z wieczora żebrakom. Złożył je na szali dobrych uczynków, a ta obniżyła się nagle, podczas gdy druga podniosła się w górę tak, że obie stanęły na jednym poziomie. Poprzeczna belka wagi nie przechylała się ani na prawo ani na lewo, a języczek wskazywał, że ciężary na obu szalach są równe.



Stefan Stambułow,

wielki polityk i patryota bułgarski urodził się w roku 1855. Wyższego wykształcenia wcale nie posiadał. Czem został, zawdzięcza bystrości niepospolitego umysłu swego, idącego w parze z niezmordowaną pracą około samego siebie. Brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej w roku 1878, w którym powstaje księstwo bułgarskie, wyzwolone z pod jarzma tureckiego. Następnie staje na czele rządu wraz z kilku innymi politykami. Licząc 29 lat, zostaje prezydentem sejmu bułgarskiego. Gdy książę Battenberg po zamachu, dokonanym na jego osobie, składa koronę bułgarską, zajął Stambułow wraz z ministrami Mutkurowem i Karawelowem ster rządów w Bułgaryi. On to powołał na tron dzisiaj jeszcze panującego księcia Ferdynanda Koburskiego. Od roku 1887 przez całe siedem lat stał Stambułow na czele ministerstwa, kierując sprawami państwa, dopóki książę Ferdynand, ubiegający się coraz więcej o względy Rosyi, o której Stambułow nic wiedzieć nie chciał, nie zmusza go do złożenia urzędu. Przyszło do władzy ministerstwo sprzyjające wpływom rosyjskim, któremu Stambułow stał na przeszkodzie w urzeczywistnieniu zamiaru pojednania się z Rosyą. Następuje skryta walka pomiędzy księciem Ferdynandem a jego potężnym upadłym ministrem, która przenosi się na szerokie masy narodu. Namiętności wzajemne dosięgły szczytu i Stambułow w kwiecie wieku — liczył bowiem dopiero 40 lat — ginie pod nożami i sztyletami morderców.

Bankier oczom nie wierzył.

Promienisty Archanioł rzekł:

— Widzisz, Mikołaju Nerli, nie jesteś ani dla nieba, ani dla piekła. Idź! wracaj do Florencyi! Pomnażaj w twojem mieście chleby, które dałeś własną ręką, w nocy, kiedy nikt nie widział; a będziesz zbawiony. Nie dość bowiem, że niebo staje otworem dla łotra, który kaja się i dla jawnogrzesznicy, która płacze. Miłosierdzie Boże jest nieskończone: zbawia nawet bogacza. Niechaj tak i z tobą będzie. Pomnażaj chleby, bo widzisz, ile one na mojej wadze ważą. Idź!

Mikołaj Nerli obudził się na swojem łóżku. Postanowił pójść za radą Archanioła i mnożyć liczbę chlebów dla biednych, aby wejść do Królestwa niebieskiego.

Przez trzy lata, które spędził na ziemi po pierwszej swojej śmierci, był litościwy dla ubogich i hojną dłonią rozdawał jałmużnę.

Praktyczne rady.

— **Rada co do owoców.** Częstokroć zdarza się, że po spożyciu owoców dostajemy boleści w żołądku, lubo owoce całkiem dojrzałe, są najzupełniej zdrowe. Aby jednak takiemi były, potrzeba albo je odrzeć ze skóry, albo przynajmniej obetrzeć starannie, gdyż na łupinie może być brud lub zarodki robactwa, bardzo zdrowiu szkodliwe. Środek znany i prosty, ale bardzo zbawienny a zaniedbywany.

Rozmaitości.

* **Szruba podatkowa** w wielu miejscowościach w otoczeniu Berlina bywa tak zaciskana, iż ludność miejscowa piszczy w niebogłosy. Rummelsburg np., za uchwałą swej rady miejskiej, zaproponował podatek od piwa na rok 1895/96: oraz podatek od gęsi i świń, po 3 mk. od wagonu, a ten ostatni już obowiązuje. Mieszkańcy Werderz z początkiem przeszłego roku muszą się dobrze namyślać nad wyprawianiem wesel, chrzcin itp. liczniejszych zebrań w lokalach publicznych, co jest w Niemczech przyjętym zwyczajem. Rada miejska bowiem ustanowiła tam od takich zebrań rodzinnych następujący podatek: od 25 osób, lub mniej, 10 marek; od 25—50 uczestników zebrania 20 marek; od większej liczby ponad 50-ciu uczestników, 30 marek. W Rathenow każdy z 600 obecnych w mieście fortepianów opłaca po 6 marek podatku miejskiego rocznie. Ostatni podatek może, ze względu na spokój mieszkańców, najbardziej usprawiedliwiony.

* **Bicykl na dworze włoskim.** Wychodzące w Medyolanie pismo »Biciclitta,« poświęcone sportowi welocypedowemu, donosi, iż od pewnego czasu cała rodzina królewska oddaje się z upodobaniem jeździe na bicyklach i rowerach. W ogrodzonej i zamkniętej przed publicznością części parku w Monza można od kilku tygodni widzieć zarówno króla, jak królowę i młodych książąt, przejeżdżających się po alejach na żelaznych rumakach. Król Humbert wyuczył się jazdy na rowerze już po dwóch lekcyach i zadziwia obecnie swoją wytrwałością. Królowa Małgorzata dopiero po kilku dniach zdołała znaleść równowagę, a dziś już jeździ i z wdziękiem i bardzo śmiało. Następca tronu Wiktor Emanuel, oraz jego młodsi bracia są wybornymi cyklistami. Sport ten wśród rodziny królewskiej włoskiej zaszczepiła księżna Letycya, wdowa po Amadeuszu, popadłszy nawet wskutek zapalczywości swej w tym sporcie na jakiś czas w niełaskę u dworu. Obecnie rodzina królewska pojednała się już i z księżną i z nowym sportem.

* **Waga muchy.** Jeden z cierpliwych i mających widocznie do zbytku wolnego czasu przyrodników niemieckich obliczył, iż waga zwykłej pokojowej muchy wynosi przeciętnie 0,01466 grama. Dalszy rachunek uczonego muchologa wykazuje, że na jeden gram potrzeba 70 much, a na kilogram 70,000 sztuk brzęczącego owadu.

* **Grób Aarona.** Ministeryum zarządu meczetów prosiło u Wysokiej Porty o pozwolenie na restauracyę z własnych funduszów pięknego mauzoleum, wznoszącego się nad grobem arcykapłana Aarona, brata Mojżeszowego. Grób znajduje się na górze Hor, w dawnej Idumei, obecnej Al-Hadshir, części tureckiej prowincyi Arabii skalistej.

1.



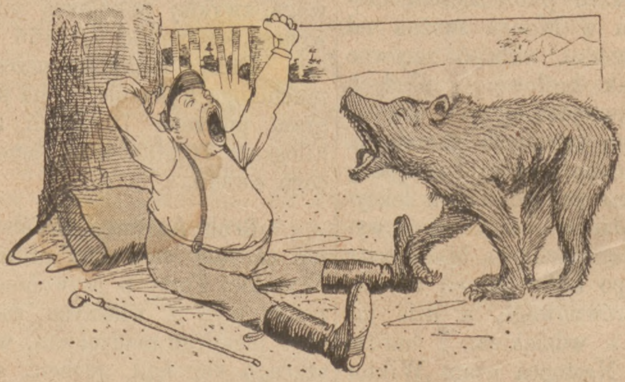
Pan Marcin pod drzewem usnął nieboże,
Gdyż upał był wielki o tej dnia porze.
Śpi smacznie, wcale go nie obchodzi
Że niedźwiedź z za krzaków do niego dochodzi.

2.



Pan Marcin się zbudził. Przeciągnął się, ziewa
Wpatrzył się niedźwiedź. Cóż to za dziwa.
Patrzy w Marcina, z zajęciem spoziera
Aż nagle i jemu pysk się otwiera.

3.



Cóż to za czary, niedźwiadek ryknie
Zadrzał nasz Marcin, ale nie wykrzyknie
Nie stracił głowy, usta więcej skrzywia
A niedźwiedź coraz to więcej wydziwia.

4.



Nareszcie zmęczony siada nasz niedźwiadek
Opuszcza Marcina, klnie na ten wypadek
Marcin zaś wstaje: „Dobrze się tak stało“
Mówi, „inaczej pewnie nie wyszedłbym cało.“

ŻARTY.

Na ulicy.

Pan do żebraka:

— Wstydźcie się... Poszlibyście lepiej pracować!

Żebrak odpowiada:

— A czy pan myśli, że w tych ciężkich czasach żebranina, to nie robota?

Żaden z adwokatów nie pójdzie do nieba,
Procesów tam nie ma — więc ich nie potrzeba.

Córka: Mamo, dla czego powiedziałaś panu Anzelmowi, że ja zaczęłam ośmnasty rok, kiedy mam istotnie dwadzieścia? Przecież w moim wieku te dwa lata nic nie znaczą.

Matka (wdowa): Tak moje dziecko, ale w moim znaczą bardzo wiele.

— Nie wiem, jak pokierować moim chłopcem. Ma napady konwulsyjne... rzuca się okropnie i wykrzywia.

— Niech się grać nauczy, a będzie uchodził za wielkiego artystę.

— Wiesz, że nasz stary kawaler umarł?

— Człowiek honorowy! Czterdzieści lat temu powiedział pannie, która go nie chciała, że umrze z rozpaczy, i dotrzymał słowa.

Kucharka (oglądając ryby na targu): Ale ten szczupak jest śnięty.

Przekupka: Co ma być śnięty? On tylko sobie zdrzemnął. Gdyby pannę tak cały dzień potrzymać w koszyku, toby panna także sobie zdrzemnęła.

Kosztowny adwokat: Powiedz mi pan prawdę, czy istotnie okradłeś bank?

Klient: Zbyteczne pytanie; czyżbym inaczej był w stanie opłacić pana?

Ojciec: Czy widzisz tego niskiego, siwego pana? Ma już lat ośmdziesiąt.

Kazio: Nie byłbym się tego domyślił: jest za mały na swój wiek.

Ojciec: Dlaczego, moja Ludko, nie dostałaś nigdy żadnej pochwały?

Matka: A twoja koleżanka, Julcia, otrzymała w tym roku aż trzy nagrody.

Ludka: Ba! Julcia ma takich mądrych rodziców.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.